

Poznań, wtorek 1 sierpnia 1944, dziesiąta z minutami

— Kto go znalazł?

Pytanie zawisło na dłuższą chwilę w gorącym powietrzu. Starszy posterunkowy Adamczak gorączkowo szukał w pamięci tego istotnego szczegółu, o którym niespodziewanie zapomniał.

— Dozorca — przypomniał sobie wreszcie i odsapnął z ulgą.

— O której?

Adamczak zerknął w notes.

— Kwadrans po siódmej.

Pękaty jegomość w przyciasnej marynarce poruszył się niespokojnie.

— Czy wyście wszyscy ogłupieli?! — Jego krągła twarz przybrała barwę purpury. — Nieboszczyk stygnie od siódmej, a wy telefonujecie do nas w tej sprawie trzy godziny później?! Trzy go-dzi-ny?! Czekacie tyle czasu, zamiast ruszyć dupsko i przejść te sto metrów do Prezydium Policji?!

Posterunkowy Adamczak poczuł, że krew odpływa mu z głowy. To koniec, pomyślał. Koniec mojej krótkiej kariery w policji. A wszystko dlatego, że na jego posterunku nawaliła centrala telefoniczna. I nie mógł od razu zadzwonić do kryminalnych. Czyli do komisarza Zbigniewa Kaczmarka, który stał teraz przed nim i srożył się niczym rozjuszony indyk.

— Panie komisarzu, już tłumaczyłem... Procedura mówi o kontakcie telefonicznym... Ale centrala nam padła i...

— I gówno — przerwał mu Kaczmarek. — Procedury! Też mi coś! Za kwadrans chcę mieć na piśmie szczegółowy raport na temat okoliczności znalezienia ciała. Za kwadrans i ani minuty dłużej!

Zmieszany posterunkowy skłonił się i puścił się biegiem w kierunku komisariatu na Świętym Marcynie. Zanim zniknął za rogiem kamienicy, komisarz był już w bramie. Smród uryny i niecenzuralne napisy na ścianach nie pozostawiały wątpliwości co do osobliwego charakteru miejsca. Kaczmarek od razu przypomniał sobie tutejszą spelunę, uchodzącą w lokalnym półświatku za wziętą siedzibę płatnej rozkoszy. Malowane na różowo poręcze niechybnie wiodły schodami w górę ku temu przybytkowi.

Spojrzał na klatkę schodową, ale nie dostrzegł niczego, co przyciągnęłoby wzrok na dłużej. Ta ruchliwa nocna

arteria, którą co wieczór przemierzali podchmieleni klienci z pobliskiej restauracji „Moulin Rouge”, była o tej porze zupełnie martwym szlakiem. Cofnął się więc i skierował w głąb bramy. W miejscu, w którym półmrok przechodził w dzienną poświatę, przy wyjściu na wybrukowany wewnętrzny plac stało dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Pomiędzy nimi, przykryte jakąś lichą derką, spoczywały zwinięte w kłębek zwłoki. Spod szarego koca po niewielkiej pochyłości spłynęła jakiś czas temu ku kratce kanalizacyjnej wąska strużka krwi.

Kaczmarek podszedł bliżej i machnął policjantom swoją legitymacją, żeby nie przeszkadzali mu w pracy. Nachylił się, a potem kucnął przy zwłokach. Spod nakrycia wystawała zaciśnięta pięść denata. Była zakrwawiona i sina. Uwagę Kaczmarka zwróciły długie, smukłe palce mężczyzny i starannie wypielęgnowane paznokcie. Jakiś inteligencik, który zapuścił się ku swojej zgubie do tej nory?

* PLYNDZ — placek
ziemniaczany

— Leży jak plyndz* na patelni — odezwał się wyższy funkcjonariusz, stojący po prawej.

Komisarz już miał sięgnąć po koc, by poznać oblicze nieboszczyka, ale nagle zauważył, że pomiędzy palcami denata prześwituje jakiś papier...

— To pieniądze — znów dał o sobie znać policjant z prawej strony.

— Przecież widzę, że nie rajstopy — odburknął szorstko komisarz, obrzucając policmajstra chłodnym spojrzeniem.

Nie zdążył zapłacić, przemknęło mu przez myśl. Kolejna ofiara nieokiełznanej pożądlivosti. W tej okolicy takie zdarzenia to szara codzienność. Bułka z masłem. Facet

nadział się na jakiegoś krewkiego doliniarza, być może stawił mu opór i zapłacił za swoją głupotę. Raz, a porządnie. Ostatecznie.

Wstał i bez namysłu skierował się ku różowym poręczom. Ciemna klatka schodowa była wąska i odstręczająca, a drewniane stopnie wytarte przez setki bywalców. Każdy skrzypiał na inną modłę. Jeśli ktokolwiek za dębowymi drzwiami oczekiwał wizyty o tak wczesnej porze, na pewno został już uprzedzony o nadchodzącym gościu.

Lekko zasapany stanął przed drzwiami na pierwszym piętrze i zastukał w nie gwałtownie. Wiedział, do kogo należy ten lokal, ale nie spodziewał się właścicielki o tak wczesnej godzinie. I się nie pomylił. Po powtórnym uderzeniu pięścią za drzwiami dało się słyszeć szuranie butów. Ktoś przez chwilę zmagął się z zamkiem, aż w końcu drzwi uchyliły się w wąską szparkę. Komisarz dostrzegł w niej podbite kobiece oko. Rozmazany tusz do rzęs podkreślał przygnębiający efekt.

— Policja! — ryknął Kaczmarek.

Szarpnął klamkę, ale nie dostał się do wnętrza. Kobieta najwyraźniej nie odczepiła łańcucha.

— Otwieraj, lafiryndo! — rzucił zdenerwowany.

Córa Koryntu nie miała jednak najmniejszej ochoty do współpracy ze stróżem prawa. Za jej plecami pojawił się znieścacka cień męskiej sylwetki.

— O co chodzi? — Kaczmarek usłyszał zza drzwi chropawy głos, który wydał mu się dziwnie znajomy.

— Policja! — huknął raz jeszcze. — Komisarz Kaczmarek! Natychmiast otwierać! W tym domu popełniono przestępstwo!

Krótką chwilą konsternacji po drugiej stronie dobitnie świadczyła o tym, że komunikat zrobił odpowiednie wrażenie. Czyjeś palce wysunęły łańcuch z prowadnicy i drzwi otworzyły się z wolna.

W lichym świetle spływającym z czerwonej żarówki podwieszanej wysoko pod odrapanym sufitem komisarz dostrzegł piersiastą brunetkę, odzianą w mocno postrzępioną halkę. Fioletowy policzek kobiety kontrastował z sympatyczną, młodą twarzą. Za jej plecami czał się wstydliwie równie skąpo ubrany chudy jegomość z binoklem w lewym oku. Na jego spoconej, łysej czaszce odbijała się jak w lustrze spękana struktura sufitu.

Komisarz Kaczmarek chrząknął, bo zdawało mu się, że tak wypadnie bardziej naturalnie.

— Dzień dobry, panie wiceprezydencie — zagaił. — Proszę wybaczyć to hm... najście. Jestem tu w wybitnie służbowej sprawie. Muszę natychmiast porozmawiać z właścicielką tego... że tak powiem, mieszkania. Czy... zastałem może madame Gładecką?

— Pani nie ma w... domu — wyrwało się brunetce.

Zaraz potem zmieszana spuściła wzrok.

— Tak, tak, panie komisarzu — skwapliwie przytaknął zza jej pleców łysy dostojnik w neglizju. — Zaraz wszystko załatwimy. Gdyby łaskawy pan zechciał poczekać parę minutek, będę bez wątpienia do pańskiej dyspozycji.

— Oczywiście — przytaknął chętnie Kaczmarek, starając się omijać urzędnika swoim rozbieganym wzrokiem. — Pozwolą państwo, że poczekam na klatce schodowej?

— Tak, tak. Tooo... to bardzo dobry pomysł! — podchwycił wiceprezydent i w tej samej chwili zniknął w głębi korytarza.

— Ładne kwiatki — westchnął Kaczmarek. Celebrując każdy krok, zaczął schodzić w dół schodów. Nie doszedł jeszcze do półpiętra, kiedy usłyszał tupot nóg. Zziębnięty starszy posterunkowy Adamczak pędził w górę, ściskając w prawicy kartkę z raportem.

Kaczmarek teatralnym ruchem wyszperał w czeluściach kamizelki wielki złoty zegarek i podniósł go na wysokość swojego wydatnego nosa.

Trzydzieści minut i dwadzieścia sekund...

No! Nareszcie wszystko wraca do normy, pomyślał. W końcu, porządek musi być!